



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ALLELUJA.



Alleluja! Alleluja! świat się dziś weseli!
Chwała! chwała! przyspiewują z niebiosów anieli.

Bo się spełnił cud nad cuda, w świecie niesłychany,
Śmierć zwyciężył — zmartwych powstał Pan ukrzyżowany

Idą smętne trzy niewiasty — żalonymi słowy,
Szepczą z cicha: „Kto nam kamień odwali grobowy?”

Czas namaścić święte nogi wonnymi balsamy,
A głaz ciężki; by go dźwignąć my dość sił nie mamy!

Wtem przystąpił Anioł biały, co czuwał przy grobie,
Rzecz do nich: „wam niewiasty płakać nie na dobre.

Złość Go ludzka pogrzebała pod tą twardą skałą,
A On w niebie zakręluje wiekiustą chwałą.

Nie czekajcie wy napróżno, — słodki głos niewieści,
Zdumionemu niechaj światu Boży cud obwieści!”

Trzy Maryje wzrok nieśmiało podniosły do góry,
Jasne słońko przez wilgotne przedarło się chmury,

Wietrzyk ciepły ponad ziemią powiewa jak latem,
I potrząsa ciche pola zielenią i kwiatem.

Z gniazd się zrywa stado ptasząt, po błękitnie buja,
Przestrzeń cała wielkim chórem rozgrzmi Alleluja!

Ku czci wiecznej Zbawiciela, co stopy krwawemi
Utorował prostą drogę do niebios od ziemi

I zostawił nam bezsilnym trzy nadludzkie dary:
Nieprzebrany skarb nadziei, miłości i wiary!

Seweryna Duchńska.

Jadwiga Chrzyszczewska.

CHWILA SZCZĘŚCIA.

(Dokończenie).

Czy nikt tylko?

Podnosi oczy ku twarzy matki i patrzy badawczo, pytając, ale wnet te oczy przykrywa dłoń szczupła, i matka mówi:

— Anielciu, wstydź się. Anielciu, nie myśl o tem.

Więc matka ją zrozumiała.

Rumieniec wstydu oblewa twarz dziewczynki.

— Wiem, mamó, wiem, że to być nie może, już teraz nie chciałabym nawet tego. Tylko mi tak smutno... Jakto, za parę godzin odjedziesz i znowu zostanę sama. Mamol o, nie gniewaj się, ja wiem, że musisz jechać, ale ja... Nie, nie będę płakać... Mój Boże! Mój Boże!

I matkę kręcąc się łyzy w oczach, a kurcz ściska gardło. Tożby dopiero był przykład dla Anielci, gdyby wybuchnęła łkaniem. Uśmiecha się więc i powiada:

— Za parę godzin rozstaniemy się, to prawda, ale przez te parę godzin będziemy razem. Weź-że kapeluszcó-ruchno, konie stoją. W drodze zjemy nasze ciastka.

Cicho, posłusznie dziewczynka oderwała ręce od szyi matki i ku drzwiom dworku się zwróciła.

Z wewnątrz słychać było cichy płacz dziecięcy. To mały Jaś zalił się, że Anielci nie widział przy sobie.

Mały Jaś! Zapomniała o nim zupełnie.

Teraz zatrzymała się nagle.

Ona pojedzie z matką, a dziecko zostanie samo i dom cały także, jedynie na opiece sługi. Przecież przyrzekła, przyrzekła wyraźnie, że ani na chwilę z domu się nie ruszy.

— Anielci można zaufać! Ona jest taka obowiązkowa— mówiła ciotka.

Tak... Ale zdarzają się przecież wyjątki. Matka, po dwu latach, przyjechała na godzin parę, nie można jej samej zostawić... Ale i domu nie można, teraz szczególnie, gdy jej zaufano, gdy przyrzekła... Więc i cóż, że przyrzekła?... Mniejsza o przyrzeczenie... Ona pojedzie.. Dziwne nawet, że się choć chwilę waha... To jasne jak słońce... to właśnie jej obowiązek z matką pojechać!...

— No Anielciu, cóż się stało? Nad czem tak rozmyślasz? Już konie zaszły. Prędzej córeczko...

Odwróciła się i prosto do matki pobiegła i ręce jej na szyję zarzuciła.

— Ja nie pojedę, matusiu — wymówiła szybko — ja jechać nie mogę. Obiecałam ciotce, że ani na krok nie ruszę się z domu. To mój obowiązek w nieobecności wujostwa domu pilnować. Nie pojedę, mamó. Jedź sama... Do wi...

Głos jej się przerwał... cała dziecięca postać drżała z wysiłku.

Twarcz ukryła na ramionach matki.

Ale i matce sił nie zabrakło, choć eios był ciężki i niespodziewany.

Nie odejmowała rąk córki, zaciśniętych koło swej szyi, tylko w milczeniu całowała ją długo... długo... Po chwili dopiero trochę drżącym głosem mówił zaczęła.

— A naturalnie, Anielciu, że jechać nie możesz. Nie wiedziałam, że moja panna jest na parę dni głową domu. Oho, to wielki zaszczyt. Ale ja, córeczko, muszę już ruszać, i będę się spieszyła, tak spieszyła... Tymczasem usiądź sobie na ganku i myśl o mnie. Byłaś już tam kiedy w zakładzie?

— Byłam raz jeden — szepnęła dziewczynka.

— Doprawdy? Jak to dobrze się składa... Będziesz mogła śledzić mnie w myśli. Za chwilę powiesz sobie: „Teraz mama dojeżdża” potem „Już przyjechała, wysiada, roz-

mawia z doktorem, zwiedza zakład... I tak ciągle będziesz przy mnie.

Ujęła w obie dłonie główkę córki i w tył ją nieco przechyliła.

— Popatrz mi w oczy, Anielciu — rzekła poważnie. — Obu nam żal serce w tej chwili rozrywa, nie dajmy się żalowi. Widzieliśmy się przez krótką chociaż chwilę. Ty wiesz, że nam lepiej się dzieje, ja, żeś zdrowa, żeś taka sama jak dawniej, taka, jaką widzieć cię pragnę. Dziękujmyż Bogu i za tę trochę szczęścia. Bądź zdrowa, córuchno... a pamiętaj, zawsze, zawsze obowiązek przedewszystkiem... Pamiętaj!

IV.

Bryczka odjechała... Już rozwiął się w powietrzu tuman kurzawy, już umilkł turkot. Nic nie słybać. Cisza i spokój jak poprzednio.

Pod rozkwitłemi akacyami na ganku rozłożono dywan wzorzysty.

Mały Jaś bawi się, przewraca, wyciąga rączki i śmieje się całą piersią zdrowego, wesołego dziecka. Nic Jasiowi do szczęścia w tej chwili nie brakuje. Anielcia przy nim kłęcz, jemu tylko oddana. Jaś, zarzuca jej na szyję swe różowe, jak wałeczki, okrągłe ramiona, chwyta za włosy, pieści, całuje „Nelcia” nazywa.

O, nie domyśla się Jaś w tej chwili, jak wielką dla niego Nelcia zrobiła ofiarę, nie domyśla, jak bardzo cierpi, jak duszą daleko jest od niego!

Na boku, na stoliczku położyła dziewczynka mały zegarek i co chwila oczy ku wskazówkom zwraca. Czegożby ona chciała? Przyspieszyć ich ruch, czy zwolnić?

Sama nie wie. Pragnęłaby matkę zobaczyć jak najprędzej; czyż nie byłoby to szczęściem, radością ogromną, gdyby się spóźniła, naprawdę, mimowoli spóźniła. Pociąg na spóźniających się ani minuty nie czeka przecie. Anielcia wie doskonale, o której godzinie zatrzyma się na stacyi...

Czas płynie. Mama mogłaby już być z powrotem. Cóż ją tam dłużej zatrzymało? Pewnie czeka na administratora zakładu? O mój Boże, a tu każdej chwili szkoda.

Już teraz, gdy przyspieszony powrót matki zawiódł ją, dziewczynka pragnie, choć sama tego wyznać przed sobą nie śmie, pragnie, by się matka na pociąg spóźniła.

Co to będzie? Co to będzie?

Wpół do piątej... za dwadzieścia minut wszystko się rozstrzygnie.

Cisza... nie słybać żadnego turkotu, tylko mały Jaś ze sobą gwarzy i wyciąga ręce ku białym płatkom, jakie podmuchy wiatru z akacyi sypią.

Anielcia bezustannie przenosi wzrok ze wskazówek zegarka na drogę.

Nic... nic...

Wtem zabrzmiał sygnał... pociąg wyszedł z sąsiedniej stacyi.

Jeszcze chwila... Nie widać tam czego na drodze prowadzącej do zakładu?... Nie... pusto... nawet pył się nie wznosi...

Przysłumiony turkot rozlega się coraz wyraźniej. Czy to pociąg biegnie, czy to serce Anielci bije?

Na widnokręgu, hen w dali rozwinęła się ciemna wstęga. To dym — pociąg nadchodzi.

Już wypływa z za drzew, już go Anielcia dostrzega.

A tam na drodze co się dzieje? Dziewczynka lęka się spojrzeć...

Pustka... O nie, czarny punkcik wysuwa się z poza sosen.

To bryczka, pędzi, co konie wyskoczą, a z drugiej strony majestatycznie, zwalniając biegu, pociąg zbliża się ku stacyi.

Boże! Boże! kto pierwszy stanie?

Serduszko dziewczęcia bije, jak młotem, w uszach jej szumi, wzrokiem chciałaby jednocześnie przyspieszyć ruch pociągu i stawić jakąś przeszkodę tej bryczce, wyciągniętym kłosem pędzącej.

Zniknęła na załomie, ale ten załom tuż przed dworcem się kończy.

Ach! Już zajechali. Mama wysiada, powiewa chustką ku niej, od ust śle pocałunki,

Z drugiej strony pociąg się zbliża.

— Dwie minuty przystanku!

Dziewczynka skoczyła.

Nie! to siły ludzkie przechodzi. Biegnie... podbiegnie do matki...

Ale matki już nie było. Zdała tylko, z okna wagonu powiewa biała chustka, wyciągają się ramiona kochane, i Anielka słyszy w tym świcie, hałasie i gwarze, jaki chwilowo na stacy zapanował, słyszy wołanie matki:

— Bądź zdrowa, córeczko! Pamiętaj!

Zniknęło wszystko, pociąg uwiózł matkę ze sobą...

Na ganku znowu stoi Anielka... już teraz sama. Mały Jaś śpi, służba przy wieczerzy, w domu wszystko uporządkowane.

Słońce zaszło, i niebo całe w złocie i purpurze. Nawet kwiaty akacyi goreją.

Ona stoi cała w tych blaskach skąpiana i patrzy w górę.

Patrzy długo. . długo...

O kim myśli? Czy modli się może?

A wieczór zbliża się cichy, pogodny. Różane obłoki bledną, liście akacyi tulą się do snu, z kwiatów, jak z kadzielnic, woń płynie.

Ona wciąż stoi, zapatrzona w dal głęboką... Czeką...

I wraz z gasnącemi łunami zachodu w smutną, rozżalowaną duszyczkę dziecka spłynął spokój i ukojenie.

ZE WSPOMNIENIĘ O SYRYI.

Rycina nasza przedstawia widok portu miasta wschodniego, zwanego Iskanderum, czyli Aleksandretta i zatoki tejże nazwy, odznaczającej się niezwykłą malowniczością. Miasto to, będące obecnie dość ważnym punktem handlowym i sicdliskiem konsulów znacniejszych państw europejskich, leży nad brzegami morza Śródziemnego w Turcyi Azyatycznej, na północy krainy, zwanej Syryą.

Syrya rozciąga się od morza Śródziemnego do pustyni Arabskiej i składa się z trzech wazkich pasów, ciągnących się od północy ku południowi. Pierwszy z nich jest to pas nadbrzeżny, obfitujący w dogodne przystanie. Tu mieściła się starożytna Fenicya. Za nim idzie długie, równoległe do morza pasmo gór Syryjskich, którego część środkowa i najwyższa nosi nazwę Libanu (góra biała); za Libanem ciągnie się Antyliban, a w długiej dolinie pomiędzy temi łańcuchami płyną dwie rzeki: jedna na północ Oront, po turecku: Nahr-el-Assy. druga na południe, dobrze, znana z historii świętej—Jordan. Oront wpada do morza Śródziemnego, niezbyt daleko od Aleksandrety, a Jordan do morza Martwego. Kraj górzysty na wschód od Jordana nosił dawniej nazwę Aram (wyżyna), w przeciwstawieniu do niskiej krainy, leżącej na zachód i zwanej Kanaan (niziną). Tu leży Palestyna, ojczyzna żydów, a miejsce urodzenia, żywota i męki Chrystusa Pana. Trzeci pas terytorium syryjskiego stanowi płaskowzgórze, wysokie na 2000 stóp, kraj stepowy z porozsiewanemi gdzie-niegdzie oazami. Kwitły tam niegdyś miasta: Aleppo i Damaszek, i dziś istniejące.

Syrya była w starożytności krainą bardzo urodzajną, zamieszkałą przez ludy ruchliwe i przemysłowe pochodzenia semickiego. Posiadała wiele miast pięknych, bogatych i han-

dlowych i dzieliła się na oddzielne, niezbyt rozległe państwa, które kolejno stawały się łupem olbrzymich państw sąsiednich: Assyryi, Babilonu, Medyi, Persyi i Macedonii. Po śmierci Aleksandra Macedońskiego istniało nawet oddzielne państwo Syryjskie, pod berłem dynastyi Seleucydów, które zdobyte zostało przez Rzymian, a następnie w VII-ym wieku po Narodzeniu Chrystusa Pana przez Arabów mahometan. W XVI-ym wieku zawładnęli Syryą Turcy Osmani, dzisiejsi jej posiadacze, ale kraina ta utraciła dawną swą świetność i przedstawia się niemal jako pustynia, z wyjątkiem tylko części Libanu, zamieszkałych przez Druzów i Maronitów. Większość mieszkańców Syryi z wyjątkiem Turków, Arabów i Żydów, wyznają wiarę katolicką, ale należą do obrządku chaldejskiego i używają przy nabożeństwie nie łacińskiego, ale staro syryjskiego czyli chaldejskiego języka, który posiadał swoją literaturę aż do X-go wieku. Na język ten jeszcze w pierwszych wiekach chrześcijaństwa przetłumaczone zostało Pismo święte.

J. B.

ZABAWA CHEMICZNA.

Woda, zamieniona w wino.

Zdarza się często, że chemicy, pracujący w laboratoriach, koniec reakcyi poznają ze zmiany kolorów. Zmiana ta wynika już to, że nowe ciała, skutkiem działań chemicznych powstające, są odmiennie zabarwione, już to, co zdarza się częściej, z powodu, że odczynnik barwiący, wprowadzony jako pomocniczy do płynu, oznajmia odbarwieniom lub zmianą barwy koniec reakcyi.

Ta zmiana barw pozwala na liczne zabawne doświadczenia, z których jedno postaramy się opisać.

Kuglarze często pokazują sztukę, polegającą na zmianie wody w wino, lecz po większej części w razach podobnych posługują się naczyniem o podwójnem dnie.

My poprzestaniemy na omyleniu naszych widzów, tylko co do przedstawionych materyi.

Przygotujmy w szklance roztwór siarkocyanku potasu lub amonu i przedstawmy go jako wodę; uwierzą nam łatwo, gdyż płyn jest bezbarwny i przezroczysty, nie zapominajmy jednak, że to jest trucizna.

Teraz płyn ten przelejmy do drugiej szklanki, na spód której wpuściliśmy przedtem troszkę siarczanu tleniku żelaza lub chlorniku żelaza, lecz tak mało, że w szklance go nie znać. Dla tem lepszego omylenia wycierajmy ostentacyjnie szklankę w oczach widzów, pamiętając tylko, aby dwa nie dotykać

Płyn w miarę przelewania go do szklanki będzie się stawał czerwonym, i oto sztuka gotowa.

Aby zdobyć siarczan tlenku żelaza, należy tylko sproszkować siarczan żelaza, czyli koperwas zielony i wystawić go czas jakiś na działanie powietrza.

W podobny sposób można także wino zamienić w mleko. Jeżeli dodamy octu do tynktury jedu, otrzymamy piękny, czerwony płyn, podobny do wina.

Wlejmy do niego roztworu podsiarkonu sodu, tak powszechnie używanego przez miłośników fotografii, a otrzymamy płyn biały, mleczny, który zawdzięczamy osadowi siarki.

Płyn ten nieświadomi przyjmą z całą wiarą za wino, przemienione w mleko.

Nad wodami Bałtyku.

Przed dawnymi bardzo laty, gdy w miejscach, gdzie dziś po równinach przebiegają pełne gwaru i życia pociągi kolei żelaznych, odwieczne szumiały puszcze, siedliska dzikiego zwierza, a nagie gór szczyty pokrywały wyniosłe buki i modrzewie, tu i owdzie ponad wodami Bałtyku, na okalających je wzgórzach zatoki, co ciągnie się het od przylądka Heli aż do ujścia Wisły, stały warowne zamki ówczesnych królów morza, Ganipotami zwanych, rabusiów germańskiego

chnię fali wraz ze zbójceką załogą swoją. Jednej z takich nocy w ponurej jesieni na zamku nadmorskim na górze, dziś Adlerhorstem zwanej, niezwykle ruch panował. Widocznie pan jego, rozbójnik morski, gotował się do wyprawy, bo opatrywał broń i ludzi, jak gdyby wkrótce zamierzał wyruszyć w pole.

— Ot ten — wyrzekł, chwytając za ramię bladego wyrostka — niech idzie precz, bo z nim będzie bieda. W razie niepowodzenia da się wziąć w niewolę i wyśpiewa wszystko, co widział i słyszał w naszym zamku. A z kądże on się wziął tutaj, Zygfydzie? nie widziałem go dawniej.

— To ochotnik, syn nadbrzeżnego rybaka, który niedawno przyszedł do nas — odparł zagadniony. — Nie oba-



Zatoka Iskanderun w Syrii.

pochodzenia, których potęga wzrosła mordem i grabieżą. Do Gdańska, ówczesnej stolicy kaszubskich książąt, ciągnęły tędy po wodnym szlaku kupieckie okręty. Ładowne w kosztowny towar; miały one załogi w broń opatrzone, i gdy sprzyjała pogoda, w dzień biały nie lękały się napadu. Lecz gdy przeciwnie noc burzliwa zakryła strop niebieski i ani jedna gwiazda nie oświeciła jej ciemności, a nieprzyjacieli na szparkich podążając łodziach, otoczył ich zniemacka, stawały się najczęściej jego łupem. Bo i jakże tu odeprzeć tłumy, które wśród ciemności wdzierały się na pokład i opanowywały okręt, zanim majtkowie mogli za broń pochwycić? A cóż dopiero jeżeli w dodatku huczała burza, i ryk jej zagłuszał odgłos wiosel przybyszów? Okręt walczył z bałwanami, których nieraz stawał się pastwą, rozbitych w pobliżu wybrzeża a łodzie rabusiów, przeskakując góry wodne, nieraz zakryte niemi, wydobywały się nieuszkodzone na powierz-

wiacie się, będę miał na niego oko, a wrzecie gdyby stchórzył, potrafię sobie z nim poradzić — dodał z gestem, na widok którego młody chłopiec zbladł jeszcze więcej. Nie pokazał wszakże swego wzruszenia, przeciwnie, podniósł wysoko prawicę i wyrzekł z pewnym odcieniem dumy:

— Gdybym wiedział, że nie sprostam waszym ludziom, nie przyszedłbym tutaj; wiem, co mnie czeka, i nie myślę wcale unikać niebezpieczeństwa...

Ganipota spojrzał uważnie w twarz przybysza, i widać spodobała mu się jego otwarta mowa i postawa, bo skinął ręką na znak przyzwolenia, a potem sam mu dał krótki miecz, który on sobie zaraz przypasał.

— No, no — rzekł Zygfydy, gdy wódz się oddalił — masz szczęście chłopcze, bo wódz widocznie upodobał sobie ciebie, dowodem tego stał hartowana, którą cię obdarzył. Drudzy nowicyusze dostają najwyżej drążek, okuty żelazem



Błogosławieni którzy płaczą albowiem oni będą pocieszeni.

(Słowa wyjęte z Ewangelii).

Nie zrobię mi wstydu Morunie, i spraw się gracko, bo robota będzie nielada... Okręt, na który czatujemy, ma zbrojną i waleczną osadę. Co do mnie wolałbym go zostawić w spokoju i czekać na inny, ale wódz nakazuje, a podwładny słu chać musi; w tem cała siła nasza, bo cóżby było, gdyby każdy chciał rządzić swoją głową? Posłuszeństwo też na dobre nam wyjdzie, bo mamy sprawiedliwego pana. Gdy przyjdzie dzielić łupy, z pewnością nie ukrzywdzi nikogo.

Morun skinął zlekka ręką, jak gdyby niewiele dbał o ten podział, lecz Zygryd nie zauważył tego, zajęty czyszczeniem miecza swego.

— Zobaczysz, że to nie przelewki — ciągnął dalej — bo choć otoczmy okręt tak, że ani się spostrzeże wśród nocnych ciemności, to załoga bronić się będzie, głównie nadzieja w tem, że gdy ugrzęzną na mieliźnie; wtedy łatwiej sobie damy z nimi radę.

Morun nic nie odpowiedział, po bladej jego twarzy przebiegały tylko niby płomienie; ukradkiem też wznosił z westchnieniem oczy do nieba, jak gdyby tam chciał zaczerpnąć siły do spełnienia trudnego przedsięwzięcia.

— No, idź spocząć teraz, chłopcze — rzekł Zygfyrd, ukończywszy swe zadanie, a pamiętaj, że ja, nie kto inny, odpowiadam za ciebie, skoro przyjąłem cię w poczet moich ludzi. Co prawda, niewiele mi to szkody przynieść może, bo w razie nieposłuszeństwa lub zdrady, jak to już mówiłem, prędko się z każdym załatwić potrafię. Raz, dwa, trzy — dodał, wywijając znów mieczem w powietrzu — i wnet głowa spada z karku.

Morun nic nie odpowiadał, lękając się może dźwiękiem głosu zdradzić oburzenia. W milczeniu tylko pomagał przenosić broń na dolne krążanki. Gdy już wszystko znalazło się na wskazanym miejscu, udał się do izdebki strażnika ponad bramą, w której rogu miał dla siebie garść słomy, rogożą pokrytej. Stary Albert czuwał noc całą, aby na dany znak uderzyć młotem w żelazną blachę, której odgłos, niby odgłos dzwonu, rozlegał się wtedy po całym zamku. Przechadzał się więc, dając baczenie na morze, i słuchając głuchego jego ryku w oddali. Morun tymczasem leżał na posłaniu i wkrótce zasnął. Śniło mu się, że przedziera się przez gęste pobliskie zarośle i idąc wciąż dalej, spotyka niedźwiedzie, zastępujące mu drogę z głuchym pomrukiem i dziki, błyskające srogimi kłami, mimo to szedł dalej odważnie, a potwory usuwały się na stronę, i coraz bliżej widział cel swojej wycieczki, czerwone ceglane mury klasztoru ze złotym krzyżem na wierzchu. Doszedł tam wreszcie, i furta rozwarła się przed nim, a siwłosy starszerek o słodkim obliczu wyciągnął doń ramiona. Już pochylił się do kolan jego z rozrzewnieniem i miał je uściskać, gdy zbudził go młot strażnika, spadający ciężko na żelazną blachę...

Stary Albert nie darmo stróżował, bo nagle wśród ciemnej nocy zajaśniało w oddali światło, znak umówiony, którym nadbrzeżna straż rabusiów dawała wiedzieć załodze zamkowej, że oczekiwany okręt jest już w zatoce. Jęczała od silnych uderzeń blacha, a na ten odgłos cały zamek zbudzony rozbrzmiał gwarem i szczękiem oręża. Zerwał się więc Morun, przetaił szybko oczy i za miecz pochwyił, a przypasawszy go do boku, stanął w szeregu wraz z drugimi.

Przekonawszy się, że nikogo nie brakuje na stanowisku, wódz rozkazał, aby wszyscy szli za nim na wybrzeże, gdzie, pomimo srożącej się burzy, mieli wskoczyć na łodzie, niby spiesząc na ratunek miotanego bałwanami okrętu, z którego dawały się słyszeć zdala rozpaczliwe wołania.

— Stójcie! — zagrział wtedy głos Zygfyryda, górujący nad rykiem fali, niema potrzeby ruszać się z miejsca, za chwilę okręt, gnany do brzegu, utknie na mieliźnie.

Nie omylił się stary wilk morski. Wkrótce bowiem potem okręt leżał na piasku, pochylony na bok, a załoga ratowała się, spuszczać łodzie lub skacząc w morze. Rozbójnicy wtedy z krótkimi mieczami w zębach rzucili się w wodę, wszakże nie poto, aby ratować tonących, lecz aby opanować okręt już nieruchomy wśród uderzających na niego fal. Wódz wskoczył najpierwszy na pokład, było już tam prawie pusto, a tych, którzy jeszcze pozostali i chcieli bronić swego mienia, zabijano bez litości lub wtrącano w morze.

Daremnie Morun starał się ich ocalić, wołając, że zabrać ich lepiej w niewolę, udało mu się tylko wyprosić życie młodej kobiety, cisnącej do piersi trzyletniego strwożonego chłopczyka.

— Za tę kobietę — rzekł do Zygfyryda — i za dziecię jej dostaniecie suty okup. Czyż nie widzicie po złotych mienach, jakimi pokryte jej ręce i szyja, że musi to być córka możnego domu; więcej wam przyniesie życie jej niżeli śmierć w falach.

— Dobrze radzisz, chłopcze — odparł opryszek — ale pilny sam, aby nam nie umknęła na lądzie, bo my mamy tu co innego do roboty.

Jakoż co prędzej zabierali paki z towarami, aby je uprzętać z okrętu, który coraz głębiej pograżał się w morską

otchłań. Cała noc zeszła na tej robocie, a skoro dzień świtać zaczął, i gdańszczanie, ostrzeżeni przez rozbitków, którzy dopłynęli na łodziach do portu, przybyli na ratunek współziomków, zastali już tylko puste wybrzeże. Jeden z pomiędzy nich, mąż stateczny, wspaniałej postawy w bogatym mieszczkańskim stroju, stanął z załamaniem rękami, wodząc dookoła zrozpaczonym wzrokiem.

— Niema jej — mówił z boleścią — niema dziecięcia! O Berto moja — wołał — gdzie jesteś? Gdzie Henryk? Towarzysze jej mówili mi, że lękała się puścić z dziećciem na wzburzone fale, sądząc, że uwiadomiony przez nich przybędę jej na ratunek. Niestety, przybyłem zapóźno! Okręt rozbity pochłonęły już fale i szczątki jego zaledwie widać tu i owdzie... Wraz z nim więc zginęła... a może w ostatku wsiadła do drugiej łodzi, która zatowarować musiała jak świadczą martwe ciała rozbitków, wyrzucone na piasek. Głębie morskie pochłonęły więc szczęście i nadzieje mego życia, o Boże!

I zrozpaczony mąż, mówiąc te słowa, błędnym wzrokiem wodził to po wód powierzchni, to po lasach i wzgórzach nadbrzeżnych. Daremnie wierni słudzy starali się ukoić jego boleść nadzieją, że odnaleźć może żonę i syna... że może wylądowała gdzieindziej...

A Morun tymczasem z branką swoją i jej dziećciem podążył do Adlerhorstu w otoczeniu zgrai rabusiów, którzy wszakże zostawili go w spokoju, zajęci unoszonemi do podziółki łupami. Mały chłopczyk wystraszony tulił się do Moruna, jak do obrońcy przeciw dzikim, wstrętnym ludziom, którzy na padli okręt. Widział bowiem, jak zasłaniał jego i matkę, gdy ludzie ci wcisnęli się do kajuty, jak potem gdy przemówił do Zygfyryda, ten rozkazał rabusiom odejść na stronę... Łagodna i miła twarz młodzieniaszka natchnęła go zaufaniem, które zdawała się podzielać jego matka. Przyniły się też do tego zapewne tajemnicze wyrazy, które Morun szepnął na stronie młodej kobiecie.

I teraz gdy szedł przy niej, niosąc na rękę jej syna, trwożnie spoglądając dokoła, w jego spojrzeniu zdawała się czerpać otuchę.

Szarawo już dzień świtał na niebie, gdy krętami ścieżkami wśród gór, lasem obrosłych, gromada zbójcecka zbliżyła się do bram warownego grodu. Spuszczono most zwodzony, i wszyscy weszli pod ciemne sklepienia gdzie jeszcze lampy, napełnione tłuszczem, blade przyświecała światłem. Tu rabusie złożyli zabrane łupy, a zanim podział nastąpi poszli się pokrzepić jadłem i napitkiem po bezsennej nocy. Morun, znalazłszy się sam z branką, rzekł do niej:

— Pozostańcie tu, pani, ja pójdę przynieść wam posiłek i wyprosić na mieszkanie komnatę w tej narożnej baszcie. Jest ona nad sypialnią, którą dzielę ze stróżem zamku, będę więc mógł mieć na was oko i być zawsze na wasze usługi.

— Szlachetny chłopcze, czemże ci się odwdzięczę za twoją litość nademną i nad tem biednem dziećciem... Ale prawda wdzięczności nie potrzebujesz, bo działasz w imieniu wspólnego nam mistrza. On to odpłaci ci hojnie dobroć twoją... Ale nie odchodź, lękać się sama pozostać...

— Nie lękajcie się, Zygfyrd was oddał pod moją opiekę, bo mu przyrzekłem za was i waszego syna okup bogaty, więc włos wam z głowy nie spadnie.

Wyrekłszy to, Morun wyszedł pospiesznie. Młoda kobieta padła wtedy na kolana i zaczęła się modlić gorąco, a łzy strumieniem spływały jej po licu.

— O Boże! — mówiła — daj mi spotkać jeszcze na tej ziemi Wilhelma mego i dozwól mi w ręce jego oddać to dziećcie, które równie jak moich jest oczu jego światłością. Henryku! — dodała zwracając się do chłopczyka, który patrzył zażwawionemi oczami, bo widok boleści matki przejmował żalem dziecinne jej serduszko. — Henryku, dziećcie moje drogie, prosz Boga, aby cię powrócił ojcu!

Chłopczyk, który nawykł już modlić się rano i wieczór, wraz z matką ukląkł i złożywszy ręce, wznosił oczy w niebo, a potem powtarzał słowa codziennej modlitwy, Nagle dziki śmiech im zawtórował, i ciężka ręka spoczęła na ramieniu

dziecka. Mały Henryk umilkł, matka zaś jego wydała okrzyk przerażenia, dostrzegłszy jednego z rabusiów, stojącego przy dziecku. Nie miał on wyraźnie złych zamiarów, bo śmiał się tylko, mówiąc:

— Ha, ha, modlitwy nie wydobędą cię z naszej mocy, mały ptaszku, ani ciebie, piękna pani, złota, złota tylko nam dajcie, a będziecie mieć spokój z nami. A tymczasem pokażcie no mi ten łańcuch, co macie na szyi, bo wam to niepotrzebne.

I ściągnął już rękę do klejnotu, którego zapragnął, gdy nagle drzwi się otworzyły, i wszedł Morun, niosąc dzban i kuzającą się misę. Na widok rabusia, chwytającego łańcuch, postawił szybko przyniesione jądło i, zbliżywszy się do niego z groźnym gestem, zmusił go do odwrotu.

— Nie waź się dotykać tej pani — zawołał ja za nią odpowiadam Zygfydowi, i gdyby jej się stała jaka krzywda, ciężko byś to opłacił...

(d. c. n.)

Seweryna Duchinińska.

JAJKA WIELKANOCNE

OBRAZEK SCENICZNY.

OSOBY.

PANI ZOFIA	WAŃDZIA lat 7
PANI HELENA, jej siostra.	HENRYK lat 15
DZIADUNIO.	STAŚ lat 6
JANINKA lat 14	JADWINIA lat 14
MARYNIA lat 13	CESIA lat 8

GRZEGORZ stary sługa.

Biecz dzieje się w Warszawie w domu pani Zofii.

SCENA I.

PANI ZOFIA, PANI HELENA, PO CHWILI GRZEGORZ.

PANI ZOFIA.

Dzięki ci, Helko — miłe będą święta,
Twe odwiedziny spełniły się wreszcie,
Ale gdzież ojciec?

PANI HELENA.

Ha, biega po mieście:
Chciałby ucieszyć chłopców i dziewczęta,
Miłym podarkiem...

PANI ZOFIA.

W ich wieku rzecz łatwa,
Mała drobnostka powodem radości...
(Słychać dzwonek).

Może powraca...

(Wchodzi Grzegorz z paczką i listem w ręku).

Nie... to Grzegorz stary.

GRZEGORZ.

Przynoszę paczkę i list jegomości.

PANI HELENA.

Toż się dopiero uraduje dziatwa!
Są tu zapewne od dziadunia dary.

PANI ZOFIA (czyta list).

Rozdajcie dziatkom te jajka na gody,
W każdym ukryta jedna sztuka złota,
Ale cię proszę, nie mać im swobody,
Na co bądź przyjdzie tym malcom ochota,
Niechże uczynią zadość swojej woli.
Będzie to dla mnie oczywista próbka
Co leży w sercu i w głowie się roi,
Bo każde dziecko, to mała osóбка,
Czas tylko płomień w iskiere roznieci...
Nim przyjdę — jajka rozdaj między dzieci.

PANI HELENA.

Woli ojcowskiej uczynimy zadość...
(Wydobywa jajka z paczki).

Patrz, całe z cukru...

PANI ZOFIA.

Oj, będzie to radość!

(woła na głos).

Chłopcy, dziewczęta, dalejże co żywo,
Tu niespodziankę znajdziecie prawdziwą.
(Dzieci wbiegają z przyległego pokoju)

SCENA II.

TEŻ SAME, WSZYSTKIE DZIECI OPRÓCZ JANINKI

PANI ZOFIA.

Drogi dziadunio każdemu z was daje,
Na upominek wielkanocne jaję.

DZIECI (razem).

Drogi dziadunio!

PANI ZOFIA.

Ciocia was podzieli.

PANI HELENA (dając jajko Henrykowi).
Tak, po starszeństwie.

HENRYK (odbierając jajko).

Otwierać go szkoda...

Jakto daleko jeszcze do niedzieli,
Trzy doby całe, dziś dopiero środa.

JADWINIA (do matki).

Psuć go nie będę... ja tylko otworzę.

PANI HELENA.

Uczyń, jak zechcesz...

JADWINIA (otwiera).

Co widzę — mój Boże!

Złoto... patrz... złoto...

MARYNIA.

I u mnie toż samo.

Co z tem uczynić... ty poradzisz mammo.

PANI ZOFIA.

Nie, ja nie pójdę wbrew dziadunia woli,
On dar zostawił do uznania dziątek,
Macie czas na to — obmyślcie powoli.

HENRYK.

Janka nie wraca...

MARYNIA.

Nie wie jaki datek

Czeka ją w domu — poszła z panną Klarą,
Ona tam mieszka daleko — za Farą.
Tylko jej patrzeć — powróci za chwilę.

PANI ZOFIA (do pani Heleny).

Chodźmy, siostrzyczko, mam tu pracy tyle,
Ty mi pomożesz, jak wystąpić godnie
Z mojem święconem...

PANI HELENA.

Niech radzą swobodnie.
(odchodzą).

SCENA III.

Ciż SAMI, (prócz pani Zofii i pani Heleny).

MARYNIA (podnosząc w górę złoty pieniądz).
Ja sobie kupię sukienkę różową.

JADWINIA.

A ja wybiorę może książkę nową.

HENRYK.

A ja zegarek, bym nie zasnął rano
I na godzinę stawił się w swej szkole.

WAŃDZIA.

Ja kupię lalkę — prześlicznie ubraną.

STAŚ.

A ja konika ze strzałką na czole.

MARYNIA (*po chwili namysłu*).
 Nie chcę sukienki... co mi po niej... oto
 W maju dzień dla nas bardzo uroczysty,
 Barwnych jedwabi kupię za to złoto,
 Na kanwie desęń wyszyję wzorzysty,
 Mamie stoliczek pokryję tajemnie
 W dniu jej patronki... będzie-ż rada ze mnie!

JADWINIA.

I ja, Marynko, tak jak ty uczynię,
 Zerwę się codzień o rannej godzinie,
 Na dzień imienin mej mateczki drogiej,
 Wyszyję ładny dywanik pod nogi.

CESIA.

Drogi dziadunio! jakżem ja szczęśliwa!

MARYNIA.

Słyszycie, oto Janinka przybywa,
 Cóż ona powie na ten dar wspaniały.

SCENA IV.

Ciż SAMI JANINKA.

JANINKA (*do dziewcząt*).

Długoście na mnie podobno czekały!

JADWINIA.

O! bardzo długo!

HENRYK (*do siostry przybyłej*).

Ciesz się, Janko droga!

MARYNIA.

Ja sama nie wiem — prawdaż to czy bajka?

STAŚ.

To dar dziadunia!

JANINKA (*z roztargnieniem*).

Wielkanocne jajka!

STAŚ (*pokazując złoty pieniądz*).

A w nich skarb wielki...

JANINKA (*z radością*).

Co widzę — na Boga!

HENRYK (*podając jajko Janince*).

Weź-że twój udział...

JANINKA (*żywo*).

Dziaduniu jedyny,

Jakżeś ty odgadł, czego mi potrzeba!

Słyszę, jak płaczą te biedne dzieci!

Dla nich mi spadła kropla rosy z nieba!

HENRYK.

Mówże, gdzie byłaś.

JANINKA.

Dzięki pannie Klarze,

Zwiedziłam gniazdo, gdzie jęczą łazarze

Na garści słomy, bez chleba okrucy.

Na taką nędzę świat ślepy i głuchy,

Czemu? bo biedni wolą umrzeć raczej,

Niżeli w rękę podjąć kij żebraczy.

Dziś rankiem o nich doszła wieść do Klary,

Ojciec robotnik z nędzy dogorywa,
 Nad dźwiatwą tylko czuwa dziadek stary,
 Matka z boleści i z głodu pół żywa,
 Klara ich swoją otacza opieką,
 Biega, kołacze od progu do progu,
 Zebrała kwotkę — lecz jeszcze daleko
 By tych biedaków podźwignąć z barłogu.
 Zaraz jej posłę moją sztukę złotą.

MARYNIA.

J ja też moją oddam ci z ochotą.

JADWINIA.

I ja się zrzeknę robótki dla mamy.

WANDZIA.

Nie żal mi lalki.

STAŚ.

Nie chcę już konika.

HENRYK.

Czem mi zegarek — wszystko ci oddamy.

(*Każde z dzieci przynosi sztukę złotą*).

JANINKA.

Złóżcie to złoto na ręce Henryka.

HENRYK.

Do panny Klary co siły popędzę,

Byleby prędzej zażegnać tę nędzę.

DZIADUNIO (*ukazuje się we drzwiach*).

SCENA V.

Ciż SAMI, DZIADUNIO potem PANI ZOFIA I PANI HELENA.

DZIADUNIO (*podając Henrykowi woreczek*).

Dodaj to jeszcze do tej małej kwoty,

Ja podsłuchałem te wasze szczebioty,

Zartujcie ze mnie — ciekawość to wada,

Ale staremu przebaczyć wypada.

I wasze matki słyszały coś może!

(*Pani Zofia ukazuje się z panią Heleną*).

PANI ZOFIA.

Drogie dzieciaczki! błogosław wam Boże!

Pierwszy to przełom w dni waszych przedświcie,

Pierwsza to przez was ofiara spełniona!

Piękny początek... bo i czem jest życie?

Pasmem poświęceń! a kto raz pokona

Słodką ponętę — złamie wolę własną,

Ten zdobył wielki skarb w głębi swej duszy!

Temu dni życia potoczą się jasno;

To źródło szczęścia! — czas go nie wysuszy!

DZIADUNIO.

Dziateczki moje, wielkanoc już bliska,

Na święte gody wnet dzwon się rozbuja,

U domowego zasiadźmyż ogniska,

Nim wyśpiewamy słodkie Alleluja!

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron,
 w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Alleluja, wiersz przez Sewerynę Duchinińską (z ryc.) — Chwila szczęścia przez Jadwigę Chrzaszczewską. — Ze wspomnień Syryi przez J. B. (z ryc.) — Zabawa chemiczna. — Błogosławieństwo Chrystusowe (ryc.) — Nad wodami Bałtyku p. A. B. — Jajka wielkanocne, obrazek sceniczny p. Sewerynę Duchinińską. Dodatek: Święcone u Saluni p. Z. M. (z ryc.) — Czarownik przez A. Rzeszotarską. — Dwa promyki. — Bez domu. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE

Święcone u Saluni.



— U mnie dzisiaj święcone, zaraz przyjdą goście;
Proście, nianiu, Marysię, Marcinka poproście!
— Marcinka i Marysię! co Salunia mówi,
Oni jeszcze w swej głowie pomyśleć gotowi,
Ze są jakie panięta.

Prawda, nie panięta,
Lecz są głodni.

— Urszulo, moja ty kochana,
Wszak dzisiaj Zmartwychwstanie jest Chrystusa Pana,
Dzień radości, więc wszyscy niechaj się weselą
I sieroty niech z nami dzisiaj się podziela.
Marcinek i Marysia są sieroty biedne,
Nieraz głodne, więc niechaj choć te święta jedne
Mają nieco weselsze.

Odrzekła Salunia.
I uściskała nianię.

Zawołała Munia,
Krzątają się oboje. Dziewczynka wesola
Zastawiła przysmaki na stole dokoła,
A przy stole zasiadły sieroty zbiedzone,
I była tem szczęśliwa.

A owo święcone
Co rok teraz powtarza, cieszy się niem szczerze,
Gdy do swojego stołu biedne dzieci zbierze.

A kto tak przepędza święta,
Bóg dobry o nim pamięta.

Z. M.

CZAROWNIK.

Ojciec Stasia miał maleńki tekturowy domeczek; wyglądał on jakby tekturowa zabawka, a stał zawsze w gabinecie na oknie. Drzwi domku ciągle były otwarte, a w nich od czasu do czasu ukazywał się zakapturzony człowieczek, który czasami zatrzymywał się na progu, czasami wysunął się parę kroków dalej i stał tam dzień cały, czasem parę dni, a nawet tydzień i dłużej. Pewnego dnia, po kilkodniowej słocie, wysunął się z domku i stał przy ścianie już od kilku godzin.

— O! — zawołał wesoło wujaszek Stasia — ojciec Pafnucy, tak nazwał mieszkańca domku, wyszedł na przechadzkę, możemy i my jutro nareszcie wybrać się do lasu. Zobaczymy, co się dzieje z naszym gniazdkiem sikorki, pewno już zamiast jajek znajdziemy małe pisklęta.

Staś wielce się ucieszył tą zapowiedzią, gdyż bardzo lubił wychodzić z wujaszkiem.

Nazajutrz rzeczywiście była piękna pogoda i utrzymała się przez dni kilka.

Staś biegał wesoło po lesie, przekonał się naocznie, że sikorki już się wylęgły, widział, jak mateczka ich uwiłajała się, znosząc im owady

Pewnego pięknego poranku wujaszek zauważył, że mały człowieczek zbliża się ku drzwiom domku, a pokazał to Stasiowi, rzekł:

— Widzę, ojciec Pafnucy wraca do swego pałacu, będzie niezawodnie deszcz; nic z naszej jutrzejszej wycieczki!

Stasiowi zrobiło się nieprzyjemnie na tę wiadomość, ale nie bardzo jej dowierzał, gdyż słonko świeciło wesoło, lecz nim podano podwieczorek, ukazały się na niebie jakieś niewyraźne chmury, a przed zachodem słońca rozpadało się na dobre.

— Mój wujaszku — rzekł wtedy Staś przyciszonym głosem — ten ojciec Pafnucy musi być chyba czarownikiem, jeżeli wie naprzód, kiedy będzie deszcz, a kiedy pogoda, ja się go boję.

Wujaszek zaczął się śmiać serdecznie, a wzięwszy

domek z okna, postawił go na stole i kazał Stasiowi przyrządzić mu się dokładnie. Pokazał mu, że zakapturzona figurka przymocowana była do deseczki, która, będąc osadzona na sztyfciku, obracała się swobodnie pod ściankami domku; do deseczki w jednym końcu przyczepiony był delikatny sznureczek, którego drugi koniec przytwierdzono do ścianek domku.

— Sznureczek ten — mówił dalej wujaszek — ma tę własność, że od wilgoci się kurczy. Przed deszczem zaś jest dużo wilgoci w powietrzu, sznureczek więc skracca się, pociąga deseczkę z ojcem Pafnucym i zmusza go tym sposobem do schronienia się pod dach. Przeciwnie, gdy powietrze jest suche, sznureczek wyciąga się, a nasz kapucynek może wyjść na przechadzkę. I oto cały sekret. Nieuki tylko wierzą w czary i czarowników, którzy nie istnieją wcale, nieradabym więc aby w nich wierzył mój siostrzeniec.

Ludzie wykształceni przyrządził taki nazwali hygrometrem, co znaczy po polsku przyrząd do mierzenia wilgoci w powietrzu.

A. Rzeszotarska.

DWA PROMYKI.

Pewnego razu słońce wysłało dwa promyki na ziemię. Oba były niezmiernie małe, cieńsze od najcieńszego włoska.

— Na co ja się przydam — powiedział jeden z nich — jestem zamały, żeby odbyć taką daleką podróż; poczekam aż urosnę.

Czekał, czekał i dotychczas czeka, a nie urósł ani odrobinki.

Drugi promyczek nie przeląkł się dalekiej drogi i pobiegł odważnie, jak zwykły czynić promienie słońca. Stawał się coraz dłuższy, coraz dłuższy, wyciągał się na mile, na setki mil, na tysiące mil, na miliony mil, nareszcie dosięgnął ziemi. Spojrzał na biedną chorą, która od wielu miesięcy nie wstawała z łóżka, i chora uśmiechnęła się radośnie. Ziemia obróciła się odrobinkę, i promyk padł na bawiące się dzieci, a te, zobaczywszy słońce, klaskały w ręczki. Ziemia jeszcze dalej się obróciła; promyczek zaświecił przez okno, do ubogiej izdebki, gdzie przy stole siedział staruszek i modlił się z ogromnej książki. Promyk rozjaśnił mu kartkę, i staruszek z jeszcze większą wdzięcznością modlił się do Boga, dziękując mu za Jego łaski. Świat się coraz dalej obraca, i promyczek oświeca coraz to nowe miejscowości. Promyczek zrazu mały i cieńszy od najcieńszego włoska, teraz rozciąga się od słońca do ziemi.

Tak też w życiu bywa; kto stoi na miejscu, nigdy do niczego nie dojdzie, ale niech tylko idzie naprzód odważnie i wykonywa przykazania Boże, to stanie się wkrótce pożytecznym sobie i innym ludziom.

BEZ DOMU.

(Dalszy ciąg).

VII.

Był jasny, słoneczny poranek; pan Marcin, korzystając z pogody, wybrał się w pole siać owies. Franek miał mu towarzyszyć, aby w pracy pomagać, że był jednak leniwy i nie lubił żadnego zajęcia, więc teraz stał nachmurzony, jakby niezadowolony z otrzymanego rozkazu. Kazię dziwił ten zły humor stryjecznego brata; wyobrażała sobie, jak to przyjemnie być musi na polu, gdy słońce jasno świeci, a ptaszki wesolo w górze świergocą.

— Na twojem miejscu nie krzywiłabym się wcale, poszłabym chętnie siać zboże ze stryjem — mówiła do chłopca.

— Skoro masz ochotę z nami być na polu, to cię z sobą zabiorę — odezwał się w odpowiedzi głos pana Marcina. — Pojedziesz na workach ze zbożem, a Franek, wracając po nowy zapas ziarna, w pustym wózku odwiezie cię do domu.

Siew owsa wypadł tego roku w odległym dosyć od zagrody polu; zaprzężono zatem konia, ułożono na wozie worki ze zbożem, a na nich stryj posadził uszczęśliwioną Kazię, której na tem wyniesieniu zdawało się, że siedzi niby królowna na tronie. Pan Marcin szedł obok wózka, trzymając lejce, a do brony założono drugiego konia, którego prowadził Franek. Choć chłód poranny dojmował, powietrze było tak czyste, niebo tak pogodne, że dziewczynka nie mogła się nacieszyć przejażdżką swoją. Gdy stanęli na świeżo zoranej roli, stryj zсадził synowicę z wózka, potem z pomocą Franka zdjął worki i polecił chłopcu jechać po drugi transport, a jednocześnie kazał mu odwieźć do domu Kazię, której stryjenka mogła potrzebować w gospodarstwie. Zalecał Frankowi iść piechotą przy wozie, trzymać konia za uzdę, bo lejce, potrzebne przy bronie, odjęto, i jechać wolno, aby siwka nie męczyć. Tak długo, jak ojciec mógł go widzieć, Franek stosował się do jego rozkazu, ale skoro tylko ujechali kawałek drogi, wskoczył do wózka, mówiąc:

— Co ja mam sobie nogi trudzić! siwek sam do domu trafi.

Kazia, pamiętna przestróg stryja i bojąc się jakiego wypadku, zauważyła nieśmiało, że niebezpiecznie może konia samopas puścić, skoro się nie ma lejc w rękę.

— Nie troszcz się — odparł Franek — niema obawy, żeby zbłądził, zna on dobrze drogę do stajni.

Chłopiec nie miał nawet bata, tylko kozicą wywijając ponad głową konia, jakby go chciał zmusić do szybkiego biegu.

— Daj pokój — prosiła Kazia — siwek gotów nas ponieść, a zatrzymać go nie potrafisz.

— Tego chcę właśnie, żeby pędził galopem — mówił dla dokuczenia dziewczynce Franek. — To mi dopiero będzie jazda!

I nie zważając na trwogę siostry, tak silnie podcinał konia, że aż kozica złamała się na dwoje. Siwek puścił

się galopa; wózek w nierównym pędzie zataczał się to w jedną, to w drugą stronę, a Kazia, podrzucana na nim, krzyknęła z przerażenia. Po chwili jednak pocziwy konik, jakby rozumiał przykrość, wyrządzoną dziecku, zwolnił biegu i zaczął iść wolniejszym klusem. Nie dogadzało to złośliwemu chłopcu; nie mogąc złamanym prętem poganiać siwka, odgrażał się na niego zawzięcie:

— Poczekaj, znajduję ja na ciebie sposób!

To mówiąc, wyjął z kieszeni nóż, rozczepił nim koniec kozicy i zasadził weń ostrą długą iglicę, którą zabrał matce prawdopodobnie. Kazia domyśliła się, co niegodziwy chłopiec czynić zamierzał, byłaby chętnie wyskoczyła z wózka, ale bała się nóg połamać.

— Teraz trzymaj się mocno — wołał z urąganiem chłopiec do dziewczynki — zobaczysz jaką ci jazdę urzędzę!

— Franku, miej litość nademną i nad koniem! — błagała dziewczynka.

— Muszę mu dodać ostrogi, bo inaczej zawlókłby nas do domu na wieczór.

To rzekłszy, chłopak pochylił się naprzód, chcąc może tylko ukłuć konia, ale w tej chwili właśnie wózek uderzył silnie o kamień, i trzymana w ręku Franka iglica utkwiała głęboko pod skórą konia. Tego biedny siwek nie mógł dłużej znieść spokojnie; skoczył w bok gwałtownie i popędził jak szalony. Naprózno chłopak sam teraz w największym strachu wołał z całych sił: stój! stój! konia nic już wstrzymać nie mogło. Franek, myśląc tylko o ratunku dla siebie, wyskoczył z wózka, i Kazia usłyszała, jak leżąc na ziemi głośno wydawał jęki. Tymczasem siwek pędził ciągle, o mało nie wyrzucił wózka, wpadając na dziedziniec, i dopiero zatrzymał się przed stajnią. Pani Marcinowa, słysząc hałas jakiś niezwykły, przybiegła na ratunek dziewczynce, zsadziła ją z wózka ledwo żywą ze strachu, a dowiedziawszy się od Kazi, co zaszło, surowo ukarała Franka, który niebawem przywlókł się, kulejąc.

Chłopak nie śmiał matce hardo się stawić, ale zbliżywszy się potem do Kazi, szepnął jej pocichu.

— Zobaczysz, jak ci odplacę wszystko, coś dziś na mnie naskarzyła!

VIII.

Kazia strachem tylko okupiła przygodę z siwkim, ciężiej odpokutował ją Franek, który utykał czas jakiś na nogę, nadwreżoną przy wyskakiwaniu z wózka, a w dodatku otrzymał jeszcze od ojca surowe napomnienie. Mścił się za to na dziewczynce, dokuczał jej tak bardzo, że ona, bojąc się go z każdym dniem więcej, wymawiała się, jak mogła, stryjence, od obowiązku zbierania z nim jajek, znoszonych przez kury w różnych miejscach, po stajni, obórce i na strychu. Nastąpiła jednak pora nasadzania drobiu; w tak ważnej w gospodarstwie kobiecem chwili pani Marcinowa, widząc, że opieszały Franek nie dość starannie około kur chodzi, poleciła Kazi, aby mu w tem pomagała. Dziewczynka, obznajmiona już potrochu z tego rodzaju zajęciem, byłaby chętnie wolała sama obowiązki te spełniać; bawiło ją słać ptakom gniazda, do-

starzczać im jajek, które kury, posługując się nóżkami i dziobem, zręcznie dokoła rozkładały w taki sposób, aby wszystkie równo były {ogrzewane. Potem miała przyjemność patrzeć, jak te kury poważnie na gniazdach siedziały, jak po paru tygodniach z naklutyh jajek wydo- bywały się na świat śliczne, maleńkie, żółte kurczątki, tak delikatne, że je czas jakiś w puchu trzymać było trzeba. Kazia byłaby z ochotą sama ptaszki karmiła, starym kurom nosiła ziarnka i wodę, gdyby przyjemnych tych zajęć nie zatrzuwała obecność niedobrego i dokuczliwego Franka.

Dnia jednego chłopiec wybierał się właśnie iść w pole, gdy matka poleciła mu jaja zbierać; nadąsany, poszedł rozkaz ten spełnić, ale powrócił niebawem z koszykiem prawie pustym, a gdy mu z tego powodu pani Marcinowa czyniła wymówki, odpowiedział niegrzecznie, iż przecież on temu nie winien, że kury jajek znosić nie chcą.

Po obiedzie, korzystając z chwili, kiedy ciotka poszła do piwnicy zbierać śmietaną na masło, a Franka nie było w domu, Kazia włożyła kapelusik na głowę i wysunęła się cichaczem. Była pewną, że chłopiec niedbale jaj szukał i chciała zrobić stryjence niespodziankę, przynosząc te, które wiedziała, że znajdzie, ukryte przez kury w różnych kąciakach. Jakoż niebawem miała zebranych sześć jaj w koszyku, a prowadząc dalej poszukiwania swoje, odnalazła pod strychem zachowane całe gniazdo, w którym było dziesięć dużych jajek. Uszczęśliwiona zdobyczą swoją, poniosła ją z tryumfem do domu i szesnaście jajek ułożyła rzędem na półce w szafie, wyobrażając sobie, jak się stryjenka ich widokiem ucieszy. Na nieszczęście pani Marcinowa dłużej dnia tego bawiła w piwnicy, a Franek wcześniej powrócił z pola. Dziewczynka nie chciała się przed nim znalezionemi jajkami chwalić, ale pragnęła widzieć jakie na nim zrobią wrażenie, gdy je zobaczy. Udawała tedy wielkie zajęcie robotą, trzymaną w ręku, a z pod oka śledziła wszelkie ruchy chłopca, który się kręcił po izbie.

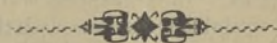
— Kto przyniósł te jaja? — zawołał nagle zdziwiony, stojąc przed szafą.

— Ja je znalazłam — odparła z nieukrywanem zadowoleniem dziewczynka.

Franek zaczął się zbliska przyglądać jajkom, a po chwili zawołał:

— Byłem tego pewny! to jajka wyjęte z pod białej kury, wszystkie były zalążone.

(d. c. n.)



SZARADA

przez Płaczącą brzozę.

Moje pierwsze to okrzyk podziwu, radości,
Drugie z trzeciem znów zimy naszej przyjemności,
Całość, pieśni weselnej wyraz uroczysty,
Śpiewany w dzień pamiętny chwały wiekuistej.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Od Fiolka z ziemi Przemyskiej dla Taidki R.

1.
 2.
 3.
 4.
 5.
 6.
 7.

W kwadracie o 7 przedziałkach ułożyć wyrazy, aby litery, oznaczone liczbami, złożyły nazwę miasta w W. Ks. Pozańskim. Znaczenie wyrazów: 1) Nowa opera polska. 2) Jezioro w Ameryce. 3) Rzeka w Ameryce połud. 4)

Polski poeta. 5) Jmień męskie. 6) Miasto nad rzeką Po. 7) Rzeka w Chinach. Sylaby: Go — on — o — za — an — cre — ho — pla — ta — ri — le — drzej — mo — ang — na — rio — no — ski — ko — ho — na.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-4go.

Szarady: Ko — me — ty.

Łamigłównki sylabowej:

- 1) Warkocz. 2) Ateny. 3) Lot. 4) Leonidas. 5) Eurypides. 6) Nemezys. 7) Sienkiewicz. 8) Tobiasz. 9) Elba. 10) Inwernes. 11) Naruszewicz.

Wallenstein.

kwadratu magicznego:

b	r	u	k
r	a	d	a
u	d	a	r
k	a	r	a

Skrzynka do listów.

Felicy M. Redakcja każdą prośbę czytelników swoich chętnie załatwia, chociaż więc geografii Nałkowskiego nie mamy na składzie, możemy ją wysłać za zaliczką pocztową.

Jakie właściwie książki życzy sobie *Polny bławatek* zrozumieć nie możemy. Brakujące numera Redakcja zawsze wysyła powtórnie. Rozwiązania łamigłówek przyjmujemy i co tydzień wymieniamy imiona wszystkich, którzy nam je przysyłają.

Szczerbulce wysyłamy brakujące dodatki, a liścik dołączyliśmy do przysłanych nam dotąd prób kaligrafii. Jak na siedmioletnią dziewczynkę piszesz bardzo porządnie. Radzi jesteśmy, że ci się Wieczory podobają i że je czytujesz z ciekawością.

Stefanowi E. wysłaliśmy żądane dodatki, powinien jednak żądać ich tam, gdzie pismo prenumeruje, lub też zgłaszając się do Redakcji, podać własny, dokładny adres.

Jadzia i Mania T. mogą przysłać próby kaligrafii, lecz naturalnie więcej od nich, niż od młodszych dziewczynek wymagać będziemy. Opowiadania o różnych miejscowościach, podajemy dość często, musimy jednak nie zapominać o artykułach innej treści, chcąc kolejno dogodzić każdemu.

Braciszek *Stasi R.* mając lat 6 może także przysłać próbę swego pisma, a z góry już zasługuje na pochwałę, bo niewielu jest chłopczyków w jego wieku, którzyby już od roku pisać umieli.

Gabryni O. wysłaliśmy zaginione numera, lecz prosimy zawsze, by się czytelnicy zaraz upominali, gdy ich nie odbiorą. Za wysłane 7 numerów należeć nam się będzie 70 kop.

Dobre rozwiązania szarad i łamigłówek nadesłali: *Trzy raczki* z Siedlisk, *Pszczółka* z Pobereża. *Jadzia* i *Mania T.*, *Fiołek* z ziemi Przemyskiej, *Murzyn* z nad Kongo, *Rybak* z nad Orzyca, *Regina B.* *Janina* i *Wanda K.*; nadto przysłali łamigłównki z prośbą o pomieszczenie ich: *Fiołek* z ziemi Przemyskiej, *Ciekawska* z Góloszyc, *Rybak* z nad Orzyca, *Pszczółka* z Pobereża i *Wandzia D.*

List twój, *Maryliciu W.* powitałam z prawdziwą przyjemnością, bo styl masz bardzo dobry oraz prawdziwym współczuciem, że tak młodziutką będąc ciężkie przechodziłaś już nieszczęścia. Cieszę się bardzo, żeś nabrała nareszcie odwagi, (którą, między nami mówiąc, zupełnie potrzebną nie była) i napisała do mnie. Pamiętaj tylko o uczynionej obietnicy, że jak ci tylko czas pozwoli zasiądziesz do listownej ze mną pogawędki, ja w zamian obiecuję na każdy twój liścik pospieszyć z szybką odpowiedzią.

Murzynowi z nad Kongo dziękuję za marki i donoszę na pociechę, że Redakcja ma przygotowaną powieść równie ciekawą jak „Wyprawa do Grenlandyi”, która się wkrótce zacznie drukować.

Rybaka z nad Orzyca witam serdecznie jako nowego korespondenta, dziękując bardzo za miłe i przyjazne słowa listu. Nie omyliłaś się bynajmniej pisząc, że muszę kochać wszystkie dzieci, tak jest — kocham je bardzo i dlatego te wszystkie pocziwe wasze liściki sprawiają mi taką radość. Łamigłównki twoje i rozwiązania złożyłam w Redakcji i mam nadzieję, że jeżeli łamigłównka okaże się dobrą, wkrótce będzie pomieszczoną w Wieczorach.

Trzem raczkom z Siedlisk. Oj, zgadzam się z wami, że wiosną lubicie i z wielkim również utęsknieniem oczekujecie słońka, które jakoś w tym roku zapomina o nas. Pisząc tak ładnie, powinniście koniecznie przysłać próby kaligrafii, bo niewątpliwie czeka was nagroda. Ale o tem *sza...* nie mówcie nikomu, bo to tylko moje domysły. Rozwiązania wasze odniosłam Redakcji.

Z chęcią przyjmę *Sanoczankę* do grona przyjaciółek, tylko na przyszły raz spodziewam się, że obszerniej do mnie napisać zechce. Dla zawarcia znajomości taki króciutki liścik wystarczy, lecz dla zaliczenia w poczet przyjaciółek — trzeba się bliżej zapoznać, a to tylko za pomocą listów da się uskutecznić: Redakcja która i do mnie przychodzące listy odbiera, uprasza na zwrócenie uwagi w naklejanju właściwych marek, bo inaczej musi opłacić karę na poczie.

Dobrze zrobiłaś *Topolko* z nad Wilii, pisząc do mnie bez żadnych ceremonii i niepotrzebnych dodatków, mam też nadzieję, że w przyszłości już bez obawy weźmiesz pióro do ręki, bo możesz być aż nadto przekonana, że twój liścik mile będzie przezemnie witany. Dodatki już ci posłano, ale powinnaś się była o nie zgłosić tam, gdzie Wieczory prenumerujesz.

Musze Ukraińskiej. Bardzo się cieszę, żeś zapragnęła nareszcie korespondować ze mną, tylko proszę nie poprzestać na tym jednym razie, bo ja lubię najwięcej stałe korespondentki. Nagrodą już ci posłano, zwłoka nastąpiła skutkiem tego, że Redakcja zawsze prosi, aby o ile kto może, postarał się odebrać nagrodę na miejscu.

Łamigłównkę i wierszyk *Wandzi D.* złożyłam w Redakcji. Łamigłównka o ile się okaże odpowiednią, będzie pomieszczoną, ale wierszyk do druku się nie nadaje.

Choćbyś pisywała co tydzień, nie dokuczysz mi tem bynajmniej, kochana *Pszczółko* z Pobereża, a zrobisz tylko przyjemność. Pytasz, czy nie należę do tej skrzydlatej rzeszy ptasząt, która ulatuje daleko? Nie — cichutko siedzę na miejscu i czekam, by mili moi korespondenci nie zapominali o swej przyjaciółce, która im przesyła życzenia wesołych świąt.

Jaskółka.